Charlie Bambino — mike17

Od autora: Tym razem kolejne opowiadanie zainspirowane prozą Charlesa Bukowskiego, są także wyraźne echa powieści kryminalnych Raymonda Chandlera. Stylizacja językowa celowa. Gotowi?

- Elvis właśnie przyleciał z Chicago.
- No i co?
- Nadal bolą go ramiona.

Charlie Bambino właśnie dłubał w nosie, kiedy zadzwonił telefon.
Czasami jego dźwięk doprowadzał go do wściekłości.
Ludzie nie mieli szacunku dla jego potrzeby intymności, ponieważ zazwyczaj przedkładali swoje małe, ważne sprawy, które musiały być załatwione tu i teraz, jakby od tego miały zależeć losy świata.
Zwlókł się z łóżka dość niechętnie, głośno puścił bąka, poprawił za ciasne majtki, które wrzynały mu się w odbyt, podrapał się po świeżo ogolonych szczękach, po czym w geście zdenerwowania złapał za słuchawkę.
- Tak.
- To ja, Paloma.
- Co tym razem?
- Może pójdziemy razem na pizzę?
- Kiedy?
- A choćby zaraz.
- Odpada.
- Czemu?
- Zaraz idę do Jimmy'ego Belafonte.
- Po co?
- Po garść wiadomości.
- To krętacz.
- No nie wiem.
- Ale ma taką opinię.
- Odpalam mu dolę za prawdziwe newsy. Nie wciśnie mi gówna. Nie tym razem.
- Wierzysz w to?
- Jak dotąd mnie nie zawiódł.
- Zawsze może być ten pierwszy raz.
- Jeśli będzie, przypomnę mu sprawę jego matki.
- A o co poszło?
- Handlowała koksem, zanim znaleźli jej kochanka w garażu. Nie był debiutantem. Miała spore wnęki, w których ich peklowała.
- Ciekawe.
- Zaliczyła czapę. On też był w to wmieszany, ale go wybroniłem moim poręczeniem. To ma moc, nadal. Ludzie wiedzą, że nie rzucam słów na wiatr. Jakoś się wykaraskał, choć widać było na kilometr, że był dobrym synusiem. Działali razem.
- I co teraz mu to przypomnisz?
- Jak coś skręci i zapoda lipę.

- Acha.
- Potrzeba mi zastrzyku informacji, czujesz? Muszę wyczesać temat.
- Jasne.
- Bez tego nie drgnę.
- Czyli pat?
- Coś w tym stylu.
- U ciebie?
- Jestem tylko zwykłym łapsem, mała, dobre przebiegi mieszają się z przesranymi. Takie czasy, pewnym można być tylko tego, że nic nie jest pewne.
- E tam, jak chcesz, potrafisz.
- Może. Jak powieje właściwy wiatr.
- To co z tą pizzą?
- Nici, nie dziś. Mam nabity łeb tą sprawą. Nawet mi się śni, budzę się i znów jestem w punkcie wyjścia.
- Ale pamiętasz naszą ostatnią noc?
- Pewnie.
- Chcesz to powtórzyć?
- Ale jakoś po niedzieli, mam naprawdę sporo na głowie.
- Co się odwlecze…
- Ano.
- W takim razie idź do Jimmy'ego i nie zapominaj o mnie, ok.?
- Nie ma sprawy, nie zapomnę.
- Ciao.
- Ciao.

Jimmy Belafonte był śmiesznym pokurczem o włoskich korzeniach.
Miał krótkie nogi i dość długą pamięć, zwłaszcza do rzeczy złych, które mu wyrządzili bliźni.
Odwdzięczał się w najmniej oczekiwanym momencie, zazwyczaj boleśnie i dotkliwie.
Jednakże w stosunku do Charlie'go musiał być inny – przez niego uniknął pierdla i grupki napalonych, niewyżytych Murzynów, którzy lubili nocne igraszki.
Był wystrojony w uśmiech od ucha do ucha i piękne słowa o wdzięczności aż po grób.
Strach sprawia, że ludzie potrafią korzystać z mózgów.
Choć cieszył się opinią niepoprawnego biseksa, który myślał wiecznie sterczącym fiutem i bez końca był na specjalnej diecie, żeby nie spadła mu liczba plemników, mógł się do czegoś przydać, zwłaszcza w tak opresyjnej sytuacji.
Chodziły słuchy, że płodzi dzieci za opłatą.
Czasem każdy adres może okazać się wielkim bingo.

- Masz? – spytał Charlie.
- Tak – odparł Jimmy.
- Gadaj. Tylko nie chcę słyszeć, że widziałeś brodatą kobietę o czterech rękach.
- A więc Jose Dzięcioł jakoś niedawno dał dyla do Meksyku.
- Jak to dał dyla? Miałeś mieć wszystko pod kontrolą.
- Zmylił mnie, stary zgred.
- Sam jesteś zgred, że cię zmylił.
- Ci z granicy nie dali mi cynku. Wciąż chcą tylko forsy, a mało robią.
- I co dalej?
- Włochaty Ante pojechał parę dni temu do Chorwacji na własne wesele! Bezczelny! Ma zamiar tam po-

zostać.
- Nie kumam. Jak to? Miałeś go obserwować.
- Złapał nocny lot i tyle go widzieli. Ludzie mi powiedzieli potem.
- To nie koniec?
- Nie. Bernie „Rączka" Coccoline wrócił jak grzeczny synek na rodzinną Sycylię, gdzie ponoć czekała na niego nowo wybudowana willa. I jakaś laska, która ma urodzić mu wkrótce dziecko.
- To chore.
- Zgadza się.
- Ty mi się nie zgadzasz. Kiedyś ci pomogłem, pętaku, a teraz wciskasz mi lipę. Nie masz za grosz klasy. Gdzieś ty się w ogóle wychowywał, na śmietniku?
- Charlie, naprawdę nie miałem na to wpływu. Wiem, jak to wygląda z boku. Wszyscy dali nogę. To spadło nagle jak żaba z deszczem.
- Krzywo nawijasz. Lepiej podklep bajer, bo lecisz po bandzie, a moja cierpliwość jest cienka jak włos łonowy małolaty.
- Nie wiedziałem, że tak się powyrabia.
- Masz siano zamiast mózgu. Wiesz, gdzie byś dziś był, gdyby nie ja?
- Sorry, stary, ale chyba się już do tego nie nadaję.
- To ja ci zaraz powiem, do czego się nadajesz. Mogę zawsze zmienić zeznania w twojej sprawie, cwaniaczku. Odgrzać całą tamtą historię. Chcesz tego? Dać ci baty? Lubisz prawdziwą męską miłość? W więzieniu o nią nie trudno. Nie leć w ciula, bo dasz ciała.
- No co ty…
- To morda i masz robić to, co do tej pory. Tylko lepiej, bo cię udupię, kąsasz?
- Tak.
- No. I jak mam teraz rozwiązać sprawę Sebastiana Demy?
- Trudne…
- To był naprawdę topowy tancerz rewiowy. Miał milion dolarów w nogach. Nie musiał umierać. Wiesz, jak czuła się jego rodzina?
- Domyślam się.
- Kiedy dostawali co parę dni w paczkach kawałki jego ciała. A to palec, a to ucho, a to nos.
- Kurde, ale się powyrabiało…
- Tak było. A zapłacili okup i został on odebrany!
- To się w głowie nie mieści. Kompletnie posrane.
- Właśnie. Sprawcy dostali pieniądze, a pomimo to go poćwiartowali. Ponoć nie miał nigdy żadnych wrogów, żadnych zatargów, żadnych problemów z ludźmi. Był lubiany i podziwiany. Był artystą niepospolitym. Charyzmatycznym. Miał rzadko spotykany talent. Szaleli za nim wszyscy. Więc gdzie jest pies pogrzebany? Komu się naraził i czym? Tacy ludzie jak on zazwyczaj dożywają bez problemu dziewięćdziesiątki i umierają spokojnie podczas snu. Podobno na Święta rodzina dostała jego kciuk z kolorową wstążką z napisem „Wesołych Świąt". Na Nowy Rok nadeszło ucho z życzeniami noworocznymi. Nie wiem, kim może być podobna porąbana gadzina, która po zainkasowaniu szmalu, zabija gościa i wysyła jego kawałki pocztą. Ja tego nie łapię. To mnie przerasta. A wiele w życiu już widziałem i myślałem, że nic mnie już nie zaskoczy. Jednak życie to ostra jazda na karuzeli.
- To naprawdę brudna sprawa. Rzadko słyszy się o takich. Ludziom ostatnio odpierdala.
- I ta bezwzględność. Okrucieństwo. To mnie zastanawia najbardziej. Komu aż tak bardzo zależało? Przecież na logikę, mógł wziąć kasę i puścić go wolno. To najgorsza sprawa, jaką w życiu prowadziłem. Na razie nie mam żadnych konkretnych tropów. Impas. Lecę w ciemno. Kompletna lipa. A rodzina mi wierzy. W końcu sam w siebie wierzę.
- W końcu coś drgnie, Charlie.

- Mam nadzieję, bo ciągnę resztką sił.
- A policja?
- Są w kropce, jak ja.
- To przykre.
- Ta sprawa cuchnie. Tyle ci powiem. Cuchnie na milę. I nie o kasę tu poszło, a o coś grubszego.
- Chyba.
- Ten Dema ostro musiał zajść komuś za skórę, nielicho nawywijać. Wzbudzić ludzką nienawiść też trzeba umieć. Tyle że w jego przypadku to mało prawdopodobne – był ponoć chodzącym ideałem, jak już wcześniej mówiłem. To nie tworzy spójnej układanki. Za mało tu logiki, za dużo emocji. Tak, emocji. Kogoś poniosły. Niewąsko. Ktoś zatracił władzę nad mózgiem.
- Też tak myślę. Takie tło by tu pasowało jak ulał. Kogoś to ostro rajcowało. Kogoś zdrowo rąbniętego. Może to psychol?
- Kto wie.
- To jakiś dekiel. Tak mi się coś widzi.
- Biorę to pod uwagę. I co z tego? Nadal drepczę w miejscu. To mnie zżera.
- Czyli ciała nigdy nie odnaleziono?
- Nie. Jego kawałki wysyłane są pocztą. Muszą być wcześniej solidnie mrożone, bo jakoś nie ulegają rozkładowi.
- Chore klimaty.
- Wysyłane są z miejsc dość bliskich miejscu zamieszkania rodziny Demy, dlatego są wciąż świeże. Ktoś tu nieźle główkuje.
- Chyba tak. I komuś zależy na ciągłym pognębianiu jego bliskich. Przecież on już nie żyje. Po co wysyłać jakieś uszy czy palce. To ma wywołać jakiś efekt, tak sądzę.
- Myślę, że masz rację – chodzi im o efekt psychologiczny. To wyjątkowe kanalie, skurwiele, jakich mało. Mają kupę radochy, robiąc to. I może nie być w tym żadnej metody.
- Jak dawno temu go zabili?
- Będzie trzy miesiące.
- I ciągle coś podsyłają?
- Tak.
- Pewnie nie zamierzają przestać.
- Pewnie tak właśnie jest.
- Szkoda, że nie mogłem ci pomóc.
- Ci trzej kolesie, których miałeś mieć na oku, a którzy dali dyla, jako jedni z ostatnich widzieli Demę żywego. Wiem to na bank. Grali z nim często w pokera. Byli w dobrych układach. Może nie aż tak dobrych, by zwać je przyjacielskimi, ale dość bliskich. Bywali u niego w domu. Jadali z nim obiady, pili wino, rozmawiali. Rodzina to potwierdziła. Byli mile widziani i dziwne, że tak nagle wszystkich ich wymiotło. Może to czysty przypadek, a może nie.
- Dziwne to…
- Ano dziwne, bo nagle jak jeden mąż zapadli się pod ziemię.
- Coś mi się widzi…
- Mnie też, że to też śmierdzi, i to bardzo. Cała ta sprawa jest bardzo gruba, nie w kij pierdział. Marzy mi się, żeby zrobić tu totalną rozklepiochę.
- Przydałoby się. Ale nie wiadomo, gdzie szukać wroga.

Charlie akurat pił tanią whisky, zakąszając pikantnymi skrzydełkami calzone, które zamówił w pizzerii u Szeleszczącego Stana, kiedy zadzwonił telefon.
Kiedy mężczyzna pije w spokoju whisky, nie powinno być żadnych telefonów.

Ale nie każdy jest jasnowidzem, właściwie prawie nikt nim nie jest.
Ludzie na ogół nie grzeszą domyślnością.
Nie miał specjalnie ochoty na rozmowę, ale zwlókł się z tapczanu, głośno beknął, wydłubał spomiędzy zębów kawałek kurczaka, który połknął od niechcenia, po czym leniwie podniósł słuchawkę.
Po chwili odezwał się znajomy głos:
- Charlie?
- Tak.
- Tu Sophia.
- Cześć, Sophia, co u ciebie?
- Co tak chłodno?
- Jak to chłodno. Chyba trochę mnie już znasz.
- Zawsze jesteś taki… męski!
- Jestem po prostu sobą.
- Ale co tam, grunt, że jest nam ze sobą dobrze, bo chyba tak jest, co?
- Jest nam dobrze.
- Miło to słyszeć. Tęsknisz za moim biustem?
- Jasne.
- Ja też za tym… no wiesz… tego, no, prawda, właśnie…
- Ładnie to ujęłaś.
- Jesteś słodki.
- Kiedyś robiłem przy takiej jednej sprawie. Gość zamurowywał kochanki w ścianie. Pewnego dnia zabrakło mu miejsca. A kochanki miał dalej. Więc wpadł na wspaniały pomysł i zaczął je rozpuszczać w kwasie, to było bardziej poręczne. I wylewał to do ogródka, pod płot. Któregoś dnia sąsiad się zakradł i podpatrzył. Ale udowodniono mu tylko te trupy w ścianie.
- Po co mi o tym opowiadasz?
- Bo właśnie prowadzę sprawę, której nie sposób popchnąć naprzód. Jest jak tona ołowiu. Jak te kochanki rozpuszczone w kwasie.
- Acha.
- Mój kapuś się nie spisał, więc póki co kaplica.
- Ale masz mnie!
- Tak, mam ciebie, ale to nie zmienia mojej sytuacji. Rodzina zmarłego mi ufa, a ja stoję w miejscu i jestem zwykłym, małym łapsem bez dokonań. To przykre. To jak ślizganie się na gównie w grudniowy poranek, gdzieś w Alabamie, na tyłach starej apteki.
- Może do ciebie przyjadę i trochę pobaraszkujemy?
- Nie dziś.
- Czemu?
- Mam spotkanie.
- Z kim?
- Z Szybkim Lopezem. To on zorganizował w 1959 ten sławetny bieg Richie'mu „Parówie" Brunette z Monroe do Summer Place. Gość biegł nago w nowych, czerwonych trampkach z butelką whisky w ręku całe piętnaście kilosów, nielicho z niej pociągając. Nawet odlewał się w biegu. To było wydarzenie. Amerykańska wolność. Babki wyły z zachwytu, jakby je pukała zgraja ognistych diabłów.
- Nie znam.
- To mój kolejny kapuś. Znamy się od lat. Jak dotąd nie skwasił.
- Rozumiem.
- Może czegoś się dowiem.
- To wpadnę jutro.

- Pomyślę, oddzwonię.
- Aleś ty oficjalny!
- Po prostu nie wiem, co będę jutro robił.
- W takim razie pa!
- Pa!

Szybkiego Lopeza najłatwiej można było dopaść w tanich, niecieszących się dobrą sławą spelunkach i w lichych, podrzędnych barach na przedmieściach miasta, gdzie hulał w najlepsze kwiat wszelkiego człowieczego upadku i unosił się wokoło wszechobecny, kwaśny zapach starych rzygowin oraz ostry odór wczorajszego moczu, oddanego spontanicznie na najbliższą ścianę, a zawartość nosa wypróżniano tu bezpośrednio na podłogę.
Tam też uderzył Charlie. Postanowił zaufać swemu instynktowi.
Objechał dwa lub trzy miejsca, ale kapusia nigdzie nie zastał.
Nie spodziewał się problemów w tej kwestii.

Ktoś dał mu cynk, że siedzi od kilku dni w przyczepie swojej dziewczyny i ostro tankują.
Było to na podwórzu niejakiego Bobby'ego Ventury, tego samego, który parę lat później miał się utopić w dole z gównem. Tam też pojechał Charlie. Nie pomylił się – z przyczepy dochodziły jakieś gardłowe odgłosy awantury, przeplatane pijackimi przyśpiewkami.
Widać było, że towarzystwo nieźle buja lokalem.
- „Nie porównuj nigdy, miły, światła słońca z księżyca blaskiem, bo to właśnie dzięki nim w swoim sercu dzisiaj masz mnie!" – śpiewała na całe gardło młoda, mająca już ostro w czubie, kobieta.
- Cicho, kobieto, bo ogłuchnę – odezwał się Szybki Lopez. – Trza osuszyć jakieś browarki. Odczuwam niemożebne ssanie.
- Piwo się skończyło – odparła bezceremonialnie.
- To śmigaj do sklepu – nakazał mężczyzna. – Nogi są do chodzenia.
- Zaraz, tylko się ogarnę – powiedziała bełkotliwie.

Wtedy do akcji wkroczył Charlie.
Zapukał trzy razy i wszedł. Była to mordownia jakich mało. Wewnątrz okrutnie cuchnęło potem, niestrawionym alkoholem, starymi skarpetami i ludzkim łojem od dawna niemytych ciał. Powietrze można było kroić nożem. Mogło zemdlić. Przez chwilę zrobiło mu się niedobrze. Pomimo to pozostał w pionie.
Pod nogami walały się zgniecione puszki po najtańszym, chińskim piwie, resztki jedzenia, stare gazety i nieświeże majtki.
Na jednej ze ścian wisiał obleśny akt kobiecy, przedstawiający bardzo grubą modelkę z bujnie owłosionym kroczem, siedzącą okrakiem na taborecie i palącą papierosa.
Gdzieś obok stał stół, na którym leżała dojrzała, kiełkująca cebula…
- Co jest? – spytała kobieta. – Coś ty za jeden, facet?
- To Charlie, robimy razem interesy. Wejdź i siadaj.
- Ale najpierw porządnie tu wywietrz, bo puszczę pawia.
- Nie ma strachu w naszym fachu.
Kiedy po kilku minutach dało się już oddychać, Charlie usiadł na jednym z krzeseł w przyczepie i zagaił:
- Słyszałeś, że Jose Dzięcioł, Włochaty Ante i Bernie „Rączka" Coccoline zmyli się z kraju jak jeden mąż. Możesz mi to jakoś logicznie wytłumaczyć? Nic z tego nie rozumiem.
- Potrzeba mi dwieście baksów na czynsz za tę przyczepę i na browary dla mnie i Marii Conchity. No i na paliwo – ze dwa razy w tygodniu jeździmy do kibla na stację benzynową, żeby się tam po ludzku umyć.
- Dam ci, ale mam dostać porządny, coś warty cynk. Sprawa, którą prowadzę, tego tancerza rewiowego,

utknęła w martwym punkcie. Ci goście mogli mnie oświecić, ale dali nogę po angielsku. Oni go widzieli w ostatnich dniach jego życia, mogli coś wiedzieć. Ale gadaj, co masz dla mnie, tylko nie wciskaj mi ściemnionej padaki.
Szybki Lopez chrząknął dwa razy, aby dodać sobie animuszu, podłubał w zębach, po czym rzekł spokojnie:
- Pewnej nocy piłem w barze u Skrzydlatego Franka z Jose Dzięciołem, już po śmierci Demy. Był naprawdę przybity. Nigdy go nie widziałem w takim stanie. Dużo mówił i widać było, że się boi. Pił okrutnie, ale ten lęk nie mijał. Zawsze był luzakiem i imprezowiczem, przewalał po kowbojsku panienki jak kopki siana, a tu nagle masz babo placek! Chłopina zmienił się nie do poznania. Strzelał oczami po ścianach, oglądał się za siebie, mamrotał coś pod nosem, jakby śledził go jakiś diabeł albo co.
- Ale powiedział coś konkretnego? – spytał Charlie.
- Tak. I to mnie mocno zastanowiło.
- A co takiego?
- Dostał anonim, w którym ktoś pisał, że daje mu miesiąc na opuszczenie kraju. W innym przypadku kulka w łeb. Podpisał się Pasoval. Dziwne imię, nigdy nie słyszałem o nim.
- Poważnie?
- Tak.
- A więc ktoś w kulki nie leciał. Może jakiś pojeb?
- Na to wygląda.
- A reszta? Oni też dostali pogróżki?
- Podobno. Jose Dzięcioł, jak już ostro popił, klapki mu się otworzyły w mózgu i stracił panowanie nad językiem. Powiedział wtedy mi, że nie on jeden dostał taki anonim. Ale kim byli ci inni, nie chciał już zdradzić. Więc nie nalegałem. Coś w sumie już wiedziałem. Potem nigdy go już nie spotkałem.
- Więc ktoś zastraszył tych trzech kolesi, dość skutecznie i bezwzględnie. Niby tacy twardziele, a zwiali jak szczury z tonącego okrętu.
- Bo ten okręt tonął, Charlie, coś wokoło śmierdziało i to bardzo. Pamiętali, co przytrafiło się Demie i to ich wypłoszyło. Nie ma się co dziwić – jeśli rodzina dostaje kawałki ciała w paczkach, to wiadomo, że ten, kto je wysyła, nie żartuje i ma zdrowo narąbane pod sufitem.
- Dokładnie.
- Nie chcieli skończyć w piachu.

Charlie poważnie się zasępił.
Bił się z myślami, jak ze stadem natrętnych much.
Przeżywał ciężkie chwile i wcale się z tym nie krył.
- Nie wiem, jak ruszyć tę sprawę. Nie mam żadnego tropu, nie mam też motywu zbrodni. Wszystko się pieprzy. I ta bezsilność mnie zabija. Muszę drgnąć, przecież nie wsadzę łba pod tokarkę.

Po powrocie do domu zadzwonił do rodziny Sebastiana Demy, by zdać sprawozdanie.
Nie był w sosie, gdyż niewiele miał do powiedzenia – przytłaczał go marazm i niemoc.
Wszystkie nici prowadzące do ofiary powoli pękały, wszelkie tropy kończyły się w szczerym polu. Czuł narastające rozgoryczenie. Ale nie umiał przegrywać. Miał dobrą reputację. Wiedział, że musi stanąć na głowie i poruszyć niebo i ziemię, aby ruszyć z miejsca.
- Proszę pani, to bardzo skomplikowana sprawa, trudno kogokolwiek podejrzewać, bo zmarły nie miał wrogów.
- Tak, panie Bambino, nie miał i dlatego nie możemy w nocy zmrużyć oka wiedząc, że ktoś posunął się tak daleko.
- Będę szukał dalej, ale nic nie obiecuję. To najtrudniejsza sprawa, jaką w życiu prowadziłem.

- Dostanie pan premię.
- To już nie o to chodzi – całe lata pracowałem na swoje dobre imię i teraz drepczę w miejscu. Dla mnie to porażka, to coś, z czym się nie pogodzę, dlatego muszę znaleźć mordercę.
- Wierzymy w pana, Charlie, i w pana upór.
- Dziękuję pani.

Charlie akurat wyrywał włosy z nosa, jednocześnie w głębokim skupieniu starannie wypróżniając się po solidnym, włoskim obiedzie, który zjadł w knajpie u Słonecznego Benito, małego, ruchliwego Italiańca, ojca dwunastki krzykliwych dzieci, kiedy zadzwonił telefon.
Nie był w nastroju na żadne rozmowy, więc przez chwilę ignorował całą sytuację.
Gdyby jego wzrok mógł zabić, jego rozmówca już by nie żył.
Po drugiej stronie linii ktoś chciał koniecznie porozmawiać i nie zamierzał odpuścić.
Trzeba było pozbyć się natręta.
Podrapał się po tyłku i odebrał.
- Tak.
- Charlie?
- Valerie?
- Chciałam zaprosić cię do mnie na indyka.
- Nie dziś.
- Bo?
- Bo mam marny humor, mogę popsuć ci całą zabawę.
- Wystarczy, że przyjedziesz.
- Nic z tego. Potrzeba mi spokoju i whisky.
- Pijesz sam?
- Zawsze piję sam i jestem z tego dumny.
- Jesteś uparciuch.
- Jestem facetem, który nie potrafi porządnie zarobić na chleb.
- Jakaś poważna sprawa?
- Bardzo. To nie przypadek Harry'ego da Costy, który zakopywał wypatroszone trupy w workach z solanką, aby potem robić z nich smaczne kabanosy i sprzedawać z potężnym zyskiem na całym Zachodnim Wybrzeżu. Teraz moja kosa trafiła na kamień, ale kto jest jego właścicielem?
- Chcę mieć z tobą dziecko.
- Że co?
- Dziecko. Stworzymy rodzinę.
- E, to kiepski powód, nie jestem istotą rodzinną.
- Tak ci się tylko zdaje.
- Taki się urodziłem. Możemy trochę poskakać pod kołdrą, ale nic ponadto. Nie zniósłbym ciągu dalszego.
- Ale przecież jest nam ze sobą dobrze.
- O tak!
- To coś, od czego można zacząć.
- Valerie, ja się nie zmienię. Cenię wolność i niezależność, nienawidzę płaczu dzieci. Doprowadza mnie to do szału. Niech będzie, jak jest.
- Może wpadnę jutro, co?
- No nie wiem. Nie wiem, czy będę w domu. Mam poważną sprawę na głowie. Nie mogę dać ciała.
- Zjemy indyka i wykąpiemy się razem pod twoim prysznicem, jak ostatnim razem.
- Pomyślę.

- W takim razie czekam na telefon.
- Ok. Dam ci cynk, pa!
- Pa!

Postanowił dowiedzieć się czegoś więcej.
U źródeł, u samego wodopoju, u korzeni.
Pojechał pewnego dnia do knajpy, gdzie często widywano Demę.
Pomimo swej pozycji społecznej wybierał wyjątkowo szmatławe lokale, co jaskrawo kontrastowało z jego świetlanym wizerunkiem i nienaganną opinią.
Tam zastał kaprawe, odkształcone wieloletnim chlaniem mordy, pijące od rana na umór i śpiewające jakieś skoczne kawałki country w stylu wczesnego Johnny'ego Casha, z czasów, kiedy nagrywał amerykańskie szlagiery dla małej wytwórni z Nashville, i kiedy z dnia na dzień stawał się prawdziwą ikoną, którą potem miał podziwiać cały świat.
Przysiadł się – wszak mógł tu liczyć na szczerą prawdę autentycznych pijaków. Tacy są zazwyczaj całkiem nieźle poinformowani. I nie mają żadnych oporów.
- Kopsnij szluga – rzekł chrapliwie zapiewajło. – Trza wylaszczyć tę chwilę.
- Masz.
- Te, człenio, coś ty za jeden?
- Nikt.
- To takie imię?
- Jak chcesz.
- Postaw kolejkę whisky.
- Ok.
- Jestem Fred Trampolino, ale wołają na mnie Cipkarz, bo lubię zapach cipki o świcie. Mam tak od zawsze.
- A ja Billy Cobretti – skłamał Charlie, chcąc w tej sytuacji wystąpić incognito.
- A co tu porabiasz, Billy?
- Jestem dziennikarzem i piszę artykuł o waszej spelunie. Powiesz mi co nieco?
- Jasne, człowieku, dopóki będziesz naoliwiał mój mechanizm.
- Będę.
- To gra muzyka. Wyglądasz mi na młokosa.
- Mam dobre geny. Tak naprawdę jestem grubo po trzydziestce.
- Kumam.
- Ponoć przychodzą tu znani ludzie, artyści, prawda to, Fred?
- Hm… Przychodzą, powiadasz, a może i tak. Opowiem ci coś ciekawszego. Ostatnio szukałem jakiejś roboty, bo trza kasy na chlanie, ale wygadałem się, że dziewięć czy dziesięć razy umieszczono mnie w izbach wytrzeźwień wielu stanów, dziwnie na mnie patrzyli, a były to tylko liczby szacunkowe. Wiesz, czemu tak patrzyli, człek nie może się złoić w własnym kraju, czy jak? A skąd ja mogę wiedzieć o tym, co wyrabiałem po pijaku, no powiedz, co?
- No tak, rozumiem cię, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Więc ja im dalej. Dorzuciłem jeszcze kilka rozrób na mieście: raz mnie przyskrzynili, bo odlewałem się pod jakimś pomnikiem, kiedy indziej spałem w kontenerze ze śmieciami, innym razem rżnąłem kobietę na stojaka w kiblu na dworcu, potem ukradłem w sklepie parę wietnamskich skarpet, ale to przecież Ameryka, jestem wolną jednostką, mogę pić, walić panienki, stawiać klocka w parku i brać ze sklepu te pierdolone skarpety, nie jest tak, Billy?
- Jasne, w zupełności się z tobą zgadzam, ale ty nadal…
- Polałeś mi dopiero dwie kolejki, a mam w czubie po pięciu. Wtedy się rozkręcam.

Charlie zamówił od razu trzy kolejki, by mieć ten temat z głowy.
Cipkarz kontynuował:
- No i im dorzucam, że zwinąłem raz furę, puknąłem nią nowego merca i dałem z buta, gdzie pieprz rośnie. Oni na mnie patrzą jak na kosmitę, a ja lubię opowiadać o swoim życiu, chyba mam do tego prawo, co?
- Absolutnie, ale ja chciałbym…
- I przylazł w końcu bury koleś, co miał takie osrane imię, Parker mu było, znam go z pierdla, widzę , że teraz robi w tym biznesie, nosi się szeroko, markowy garniturek, buciki na błysk, krawacik w prążki, to mówię mu, żeby mi dał tę robotę, bo potrzebuję hajsu na chlanie i stawianie dupom. Co tu tłumaczyć. Mówię, człowieku, Parker, ruchy, ruchy, nie mięczakuj, pomóż mi, bo mnie kurewsko suszy. Lecę bez oliwienia już trzeci dzień. A ten kutafon mówi mi, że jako jednostka zdemoralizowana nie mogę liczyć na tę posadę. Ja mu, że każdy może być nocnym stróżem, jest wolność, demokracja, dawno temu skończyła się wojna, żaden tam miękisz, więc jestem gotów wziąć byka za rogi. On mi na to, że powinienem iść na odwyk, że rozmowa skończona. Ja mu, Parker, mnie nie pomożesz, pamiętasz, jak było w pace? On, że nie był nigdy w pace. Ja mu, Parker, chyba nie zapomniałeś, jak ssałeś fiuta chłopakom z piętra. Ustawiali się w kolejce na dziesięć metrów. On do mnie nagle „won". To ja mu na to: „Pierdol się!". Wtedy zawołali ochronę i wylądowałem na ulicy. Nikt nie doceni porządnego, szczerego człowieka, nie, Billy?
- Wypiłeś już pięć kolejek, Fred, więc nawijaj, co wiesz o Demie. Bywał tu często. Każdy o tym wie.
- Może ty masz dla mnie jakąś robotę, co?
- Nie zmieniaj tematu. Co wiesz o nim?
- Kurwa, człowieku, przypomniało mi się, że zaraz mam autobus. Muszę jechać do szpitala, odwiedzić chorą ciotkę. Jutro może jej już nie być!
- Nie kituj.
- Spadam, Billy, dzięki za chlanie – i to powiedziawszy, Cipkarz chwiejnym krokiem ruszył w kierunku drzwi, by po chwili za nimi zniknąć.
Charlie poczuł pismo nosem.
Cała ta scenka cuchnęła.
Wiedział już, że tu nikt nie puści pary z gęby, więc zapłacił i wyszedł.
Wnet dostrzegł swojego niedawnego rozmówcę, leżącego w pobliskich krzakach.
Spał w najlepsze, zapewne snem zdrowym i twardym.

Charlie nie był w czepku urodzony, jeśli chodzi o tę podłą sprawę.
Nadal kręcił się po barach i pytał o Demę.
Nikt go nie znał, nikt nie chciał pomóc.
Albo była to zmowa milczenia, albo ci ludzie naprawdę nic nie mieli do powiedzenia.
Napotkał mur nie do przeskoczenia, mur niewidzialny i poprzez to nieuchwytny.
Wszystko to przypominało walkę z wiatrakami.
Wtedy zadzwonił do niego nieznajomy:
- Jestem Mike z Dalekiego Kraju. Mogę ci pomóc, jeśli oczywiście zechcesz.
- A o co chodzi?
- O Demę.
- A konkretniej?
- Wiem, kto za tym wszystkim stoi.
- A skąd?
- Rodzina wynajęła mnie, abym przeprowadził własne śledztwo obok twojego. Doszedłem do wcale imponujących odkryć i wniosków.
- Śledztwo obok mojego? To nie mieli do mnie zaufania?

- Mieli, tylko chcieli mieć większą gwarancję na wykrycie mordercy.
- Dziwne.
- Zanim ci powiem, co wiem, pozwól, że wpadnę i przywiozę ci pewien niezwykły pamiętnik, który udało mi się moimi sposobami posiąść, ok.?
- Ok.
- Zaraz będę.

Kiedy potem do domu Charlie'go wkroczył ciemny blondyn w średnim wieku, wiadomo było, że coś się wydarzy, coś zmieni postać rzeczy, bo skoro gość był niezwykły, to i niezwykłe miały być jego słowa…
- Gotowy? – spytał Mike z Dalekiego Kraju.
- Tak.
- To posłuchaj:

„I stało się…
Tego dnia zakochałam się w nim…
Choć mi powiedział to dopiero później, on poczuł to samo do mnie. Wróciły kolory świata, wróciło coś, czego nie czułam od lat. Zamieszkał we mnie i pomyślałam sobie, że to właśnie na niego czekałam tak długo. Samotność czasem się opłaca. Coś z niej niekiedy wyniknie, coś się zrodzi, zaskakując. Nie byłam już sama. Miałam teraz jego i mogłam patrzeć bez końca w jego wesołe oczy, w których nie było fałszu i obłudy, nie było tam także niczego, czego mogłabym się lękać. Uwierzyłam. To się dzieje najczęściej w zwykłe, szare dni, w które nie wierzymy zaraz po przebudzeniu. W takie dni. Są jak kwiaty. Rozkwitają powoli, potrzebując na to czasu. Gdy zapada wieczór, wiemy już, że nie ma rzeczy niemożliwych, bowiem wszystko może się zdarzyć, jeśli było nam to pisane w gwiazdach.

Całował mnie gorąco w świetle księżyca, kiedy świat spał, zmęczony i wyczerpany.
Całował mnie w dzień, gdy na niebie świeciło słońce, pełne blasku i beztroski…
Całował mnie nawet, kiedy go przy mnie nie było…

Czułam to i on wiedział, że ja wiem.
Wiosna może przyjść o każdej porze. Drzemie w każdym z nas, przykryta sekretną kołdrą naszych obaw i lęków. Czeka w ciszy, co jest jej domem. Lecz raz obudzona, przyjdzie szybko, zanim to zauważymy.
Spoglądał na mnie z boku, jak szliśmy po kamiennych schodach w górę, by usiąść przy fontannie, co szemrała swą kojącą melodię, niestrudzona i w wyciszeniu trwająca…
Schody były długie, tak jak jego spojrzenia. Trzymał mnie za rękę i mówił wiele o życiu, które dla nas przeznaczy to, co najlepsze. Wierzył w to, co mi mówił, a ja odpowiadałam mu tym samym. Słowa unosiły się nad nami jak stada pięknych ptaków.
Na kamiennych ławkach siedzieli zakochani…
Usiedliśmy.
Wieczność była wtedy z nami, stojąc z tyłu, niewidzialna, opierając swe ręce na naszych ramionach. Zegary umarły. Tylko szum drzew i magicznego wodotrysku dźwięczał w uszach delikatnie i w spokojnym nienarzucaniu się.

Choć nie byliśmy sami, byliśmy sami…
W kamiennym miejscu zakochanych każda z par była tą jedyną i do niej należał wtedy świat.
Jak do nas, uśmiechniętych i wszechmogących. Powietrze wokoło miało inny skład – nie było już w nim wodoru i tlenu, były tylko uczucia. Chwila, co staje się nieśmiertelnością. My wierzyliśmy, że zawsze już tak pozostanie, nigdy nie będzie już szarych dni. Zniknęły za drzwiami, co na wieki wieków zamknęły się

z bezgłośnym trzaskiem. To przetrwa…
Na naszych dłoniach pozostał chłód kamiennej ławki, co świadkiem była naszego szczęścia i odbił się na nich tajemnym milionem nowych, niezwykłych linii…
Sprzyjał nam maj – miesiąc zakochanych, miesiąc cudów i trzęsień ziemi, czas zawrotów głowy, gdy świat, znany i przewidywalny w każdym najmniejszym ułamku, nagle staje się areną cudownego widowiska, w którym gramy główne role, przenosząc się do innego wymiaru, gdzie istnieje magia i snów spełnienie, gdzie niemożliwe staje się możliwym…
Tam byliśmy w te dni. On i ja. Nie było świata. Wokoło unosił się zapach naszej miłości.
Słodki i cudowny. A obok maj uśmiechnięty spoglądał na nas i puszczał figlarnie oczko.
Maju, nie zawiedź nas, proszę – mówiłam w duchu.
Maju, otul nas czarem nieziemskim – prosiłam drżąc.
Mój ukochany patrzył mi wtedy w oczy tak, jak patrzy się kobiecie ten jeden, jedyny raz.
W jego spojrzeniu zatracałam się, unicestwiałam w najpiękniejszy ze sposobów.
Był mą myślą, mym dreszczem.
I bzów zapachem…”

- Co to było? – spytał mocno zdziwiony Charlie.
- To wpis w pamiętniku kobiety, która kochała Demę. Na zabój, jak kocha się może tylko raz w życiu albo nigdy. Ona zwariowała na jego punkcie.
- Piękne…
- Nie o to chodzi.
- A o co?
- Było ich trzy. Mam także inne pamiętniki. Te kobiety piszą podobnie. On miał nad nimi jakąś hipnotyczną władzę. Rozmiękczał je jak cytryny. I jadły mu z ręki, a on zmieniał je bezlitośnie jak rękawiczki. Czasem miał po kilka naraz. Ukrywał przed światem swój wybujały erotyzm. Zapewne był ofiarą własnego seksualizmu. Chciał uchodzić za krystalicznie uczciwego, moralnie prowadzącego się artystę. Nie mogło być miejsca na erotyczne ekscesy, ani miłostki. Nikt, poza mną, nie odkrył tego. Dziś dzielę się moją wiedzą z tobą.
- Czemu właśnie ze mną, Mike?
- Bo jedziesz od jakiegoś czasu na tym samym wózku.
- Nie rozumiem.
- Te anonimy miały wykurzyć tych trzech z kraju, bo mogli być niewygodnymi świadkami, może coś widzieli, albo słyszeli, kto wie?
- No…
- Dziś są już niegroźni, na pewno nie wrócą, bo chcą żyć.
- Czyli oni mogli znać zabójcę?
- Myślę, że tak właśnie było.
- Dlatego postraszył ich śmiercią.
- Tak. Ale to nie koniec. Jest jeszcze ktoś, kto wie co nieco o tej sprawie i może znać sprawki Demy i jego życie.
- Kto?
- Ty.
- Ale…
- Zabójca już ma cię na oku. A w zasadzie zabójcy.
- Co masz na myśli?
- Te odtrącone, pałające nienawiścią kobiety, którym obiecywał miłość po grób i pewnie ślub. Życie w luksusach i wieczne wakacje. One porozumiały się między sobą, dowiedziawszy się o tym, że były jego

wspólną zabawką, i wzięły sprawy w swoje ręce. Pomyśl, jak to jest być zdradzanym, kiedy się kocha. Miłość od nienawiści dzieli tylko cienki włos. Potem jest już tylko ślepa furia…
- To one mnie obserwują?
- Coś więcej…
- Co?
- Ty z nimi śpisz.
- Ja?
- Tak. Podeszły cię po swojemu, po cichu i bardzo przebiegle. Jesteś ostatnim ogniwem w tej sprawie. Po twojej śmierci będą bezpieczne. O mnie nie wiedzą. Jestem jak cień, jak ktoś, kogo nie ma. Pamiętaj, że najbardziej bezwzględną i okrutną osobą na ziemi jest odtrącona, zakochana kobieta. Taka zdolna jest do wszystkiego, do najstraszniejszej zemsty. Jej przebiegłość nie ma sobie równych. Może grać miesiącami, udawać, że cię kocha, mówić ci rzeczy, które chcesz usłyszeć, a kiedy już nadarzy się odpowiednia chwila na wyrównanie rachunków, uderzy bez zmrużenia oka i nie okaże litości. Tępym nożem obetnie ci jaja. Nie będzie też wyrzutów sumienia. Taka jest prawda. Musiałem ci to powiedzieć. Dziś ty jedziesz na wózku Demy, jako ostatni świadek, którego będą chciały sprzątnąć.
- Kto?
- Twoje lalunie: Paloma, Sophia i Valerie, czyli Pasoval, który podpisywał się pod anonimami. Już łapiesz wszystko?
- Chyba tak…
- Teraz wiesz już, co trzeba.
- Jeszcze nie.
- A co chciałbyś wiedzieć?
- Czemu do mnie przyszedłeś, czemu mi pomogłeś?
- To proste – jestem ciotecznym bratem Sebastiana. Skłamałem mówiąc, że rodzina mnie wynajęła. Nie musiała. Po prostu przyjechałem tu i jako glina z zawodu, postanowiłem trochę powęszyć. Efekty okazały się wcale niezłe.
- Teraz rozumiem.
- Ale to jeszcze nie koniec. Każda z nich ma w domu w zamrażarce kawałki denata.
Włamałem się do tych mieszkań i sprawdziłem. Niedługo powiadomię o wszystkim policję, potem zbadają DNA i wszystko skończy się krzesłem elektrycznym. Zamierzam na dniach iść do nich, ale wcześniej musiałem cię ostrzec. Unikaj tych kobiet, nie znasz dnia, ani godziny. To groźne, mściwe suki, może nawet porąbane psychopatki. Z takimi nic nie wiadomo, zabiły raz, zabiją i drugi. Wiem z autopsji, że sporo jest kobiet, które wchodzą na tę drogę, w pewnym momencie zabijanie zaczyna je rajcować, jakby miały dobry seks. Coś się w mózgu przestawia i potem jest tylko amok.
- Jasne, więcej się z nimi nie spotkam.
- To dobrze, będziemy w kontakcie. Za parę dni zadzwonię i powiem ci, co i jak. Teraz już lecę. Trzymaj się, Charlie.
- Dziękuję, Mike.
- Nie dziękuj – to zapesza.
- Nie wiedziałem.

Zapadła noc.
Charlie słuchał radia i pił whisky, zagryzając kurczakiem z rożna.
Był wstrząśnięty i nie potrafił pozbierać myśli.
Wszystko jawiło mu się ogromnym szokiem, którego nie ogarniał umysłem.
Potem chodził od okna do okna i wypatrywał czegoś w mrokach nocy.
Z trudem zasnął, lecz miał koszmarny sen.

Nigdy nie miewał snów, więc tym dziwniejszym był fakt, że w końcu jakiś się pojawił.
Śniło mu się, że tonie w rzece, brudnej, wezbranej, pełnej połamanych konarów drzew i szarej, obrzydliwej piany. Krzyczał, lecz na brzegu nie było nikogo. Nikt nie przyszedł na ratunek. Kiedy już woda zaczęła wdzierać mu się do gardła, obudził się z dzikim krzykiem i usiadł na łóżku. Był cały spocony, drżał. A więc sen, zwykły, głupi sen…

Następnego dnia kosił trawnik przed domem, kiedy przyszedł listonosz.
Miał dla niego list.
Jakaś pani Elliot pisała w nim rozpaczliwie, że na próżno od dwóch lat poszukuje zaginionej córki i bardzo byłaby wdzięczna, gdyby Charlie zgodził się zająć tą sprawą. Koszty nie grają roli, odda wszystko, by odzyskać dziecko.
Prosiła o spotkanie, na piętnastym kilometrze drogi do Walker. Na małym, leśnym parkingu.
Jutro, o dziewiętnastej.
- Czemu nie – rzekł pod nosem Charlie. – Może to przynajmniej mi się uda. W końcu potrzeba mi pieniędzy, bo ostatnio nie było najlepiej. Trza mi sukcesów, bo jest licho.
Może w końcu odbiję od dna.
Pojechał tam.
Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, była czarna Corvetta Sting Gray, zaparkowana pod drzewami.
W środku siedziała jakaś kobieta i patrzyła przed siebie, spokojna i nieporuszona.
Była dziewiętnasta czternaście.
Wysiadł i ruszył w stronę samochodu.
Wtedy dostał łopatą w tył głowy.
Zapanowała ciemność.
Ktoś podbiegł i wbił igłę w ramię.

Właśnie zapadał wieczór, kiedy ocknął się w pozycji, w jakiej nigdy jeszcze nie był.
Coś od razu wydało mu się nienormalne – nie był w stanie ruszyć nogami.
Leżał bowiem na trawie, a jego stopy tkwiły w wielkim, srebrnym wiadrze, i nijak nie mógł nimi poruszyć. Wtedy tam spojrzał. Zawartością wiadra był zastygły, szybkowiążący beton…
Sięgał prawie do kolan. Czuł senność i otępienie. Zastrzyk zrobił swoje. Był na tyle otumaniony, że nie odczuwał lęku, tylko oszołomienie i uczucie ogólnej dziwności.
- Co jest? Przecież to ja, Charlie, facet, który was pukał. Puśćcie mnie natychmiast!
- Paloma, już? – spytała Sophia.
- Myślę, że tak.
- No to bach! – dodała Valerie.
Chwyciwszy go mocno pod ramiona, powlokły w kierunku rzeki.
W tym miejscu miała ponad pięć metrów głębokości.
Nikt tu nigdy nie przychodził ze strachu przed wirami i utonięciem.
Miejsce było odludne i omijane szerokim łukiem.
- Adios, amigo!
I razem zepchnęły Charlie'go w dzikie odmęty, gdzie czekało już na niego kamieniste dno i drobne zęby lubiących ludzkie mięso węgorzy.
- Teraz jest już w porządku – powiedziała Paloma.
- Możemy spać spokojnie – odparła Sophia.
- Wracajmy do domu, pozamiatane – zakończyła Valerie. – Już po dwudziestej. Może skoczymy na drinka do Ciepłego Ala? Albo na kręgle?
W samochodowym radio The Ventures grali akurat kultowy „More", motyw przewodni „Mondo Cane" z

1962 roku, szokującego, włoskiego filmu, który wstrząsnął milionami widzów na całym świecie, bo po raz pierwszy pokazano w nim prawdziwą śmierć.

Tego dnia Mike nie mógł dodzwonić się do Charlie'go, więc pozostawił mu wiadomość na sekretarce:

Cześć Charlie!

Przed sekundą wróciłem z komisariatu. O dwudziestej od nich wyszedłem zmęczony jak szczur. Jeszcze tej nocy będą za kratkami. Zabezpieczyli dowody, szczątki Sebastiana w zamrażarkach. Ich mieszkania są już obstawione przez policję. Za moment poznają smak pierdla. Przekazałem tutejszemu szefowi policji całą moją wiedzę operacyjną. To im wiele dało. Nikt tu już nie ma wątpliwości, kto zabił mojego brata. Te chore kobiety są skończone. Mam nadzieję, że z tobą wszystko ok., że nie spotykałeś się już z nimi, jak ci mówiłem. To byłby karygodny błąd. Niebawem do ciebie wpadnę i opowiem ci całą resztę z tego ciężkiego, ale udanego dnia. Mam nadzieję, że i tobie się udał.
Najważniejsze, że sprawiedliwość zatriumfowała, że te psychopatki pójdą na krzesło.
Pogadamy o tym przy whisky, wpadnę jutro, koło szesnastej, czekaj na mnie i niczym się już nie martw. Wszystko skończone, dla ciebie, i dla nich. No to tyle, cześć.

31 lipca 2013

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 21.10.2013 08:36

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.